M. ARCYBASZEW

ŻYCIE A ŚMIERĆ

Z ORYGINAŁU ROSYJSKIEGO
PRZETŁÓMACZYŁ Dr. M. Ś.

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP.
1914.

ŻYCIE A ŚMIERĆ.

M. ARCYBASZEW

ŻYCIE A ŚMIERĆ

Z oryginału rosyjskiego
przetłómaczył Dr. M. Ś.

KRAKÓW — NAKŁADEM G. GEBETHNERA I S-KI.
1914.

CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ W KRAKOWIE,
POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO.

I.

Młody lekarz, Włodzimierz Iwanowicz Sołodownikow, wyszedł na bulwar na przechadzkę, co zwykł był czynić codzień, jeżeli o tym czasie, to jest około godziny siódmej wieczór nie miał zajęcia u chorych. Na bulwarze spotykał zwykle kogoś ze znajomych, a przeszedłszy ze spotkanym przez cały bulwar, udawał się do klubu na gazety i na bilard.

W tym dniu pogoda była fatalna; niebo od rana zaciągło się gęstemi chmurami; był wiatr i wilgoć, a na bulwarze nikogo prócz policyanta.

Przeszedłszy do końca bulwaru Sołodownikow nawrócił i postanowił pójść wprost do klubu.

Vis á vis niego szedł ktoś, w kim Włodzimierz Iwanowicz poznał swojego znajomego podporucznika od piechoty Gołołubowa. Podporucznik szedł, jak zwykle, zręcznym szybkim krokiem, silnie stukając lakierowany-

mi trzewikami, wysoko podniósłszy mocno wywatowane ramiona i piersi i odważnie brodząc po kałużach.

— Witam wojaka — przemówił Włodzimierz Iwanowicz, zrównawszy się z podporucznikiem.

Gołołubow grzecznie się ukłonił, dotknąwszy palcami maleńkiej czapki.

— Dokąd to pan tak spiesznie? — spytał Włodzimierz Iwanowicz, dlatego tylko, żeby mu coś powiedzieć.

— Do domu — również grzecznie odrzekł podporucznik.

— Tak... — odpowiedział Włodzimierz Iwanowicz.

Podporucznik stał przed nim i uprzejmie czekał. Włodzimierz Iwanowicz rzeczywiście nie wiedział, co mu powiedzieć. Znał podporucznika bardzo mało, spotykał się z nim rzadko, a gdy się i spotkał, to z nim nie mówił więcej, jak tylko »witam« i »żegnam«. Mimo to przecież nie wiedzieć czemu miał podporucznika za głupiego i niewykształconego i kiedy indziej, gdyby na bulwarze znalazł się ktokolwiek inny ze znajomych, toby Włodzimierz Iwanowicz nawet nie był zwrócił uwagi na podporucznika.

— Szczęśliwej drogi! — Uprzejmie lekceważąco, jak się to mówi do ludzi bez poró-

wnania niżej od siebie stojących, a nie chce się im tego okazać, rzekł Włodzimierz Iwanowicz podając mu rękę.

Gołołubow uścisnął podaną rękę, dotknął znów daszka przy czapce i poszedł dalej tak samo zręcznie krocząc i stukając lakierkami.

Włodzimierz Iwanowicz poszedł do klubu, zagrał trzy partye bilardu, przyczem z wygranych trzech butelek piwa wypił więcej jak połówkę; przeszedł do pokoju bibliotecznego, gdzie z równem zajęciem i uwagą przeczytał obie gazety, jednę liberalną, a drugą konserwatywną; porozmawiał z dwiema paniami i trzema urzędnikami, których uznał za głupców śmiesznych i zacofanych; potem przekąsił coś przy bufecie i popił to czteroma kieliszkami wódki. To wszystko wydawało mu się za nudne, więc około godziny dziesiątej poszedł ku domowi. Wiatr ustał ale za to zaczął padać gęsty, zimny deszcz. Kałuże się potworzyły takie, że ich nie dało się obchodzić. Podniósłszy ramiona i postawiwszy kołnierz, podwinął dokładnie nogawki, przeszedł szybko przez bulwar i zwrócił się w ulicę, przy której mieszkał.

W trzecim domu od rogu ulicy, za bramą piekarza, jasno oświecone okno rzucało w ciemność pasma nieruchomego światła, w którem widniały krople padającego deszczu.

Włodzimierz Iwanowicz przypomniał sobie, że właśnie w tym domu mieszka spotkany dzisiaj podporucznik Gołołubow. Zrównawszy się z oknem, Włodzimierz Iwanowicz zajrzał w nie i spostrzegł podporucznika nieruchomo siedzącego wprost naprzeciw okna ze zwieszoną głową. Z nudów i dlatego, że tak niedawno widział się i rozmawiał z podporucznikiem, przyszło do głowy Włodzimierzowi Iwanowiczowi tak z fantazyi zapukać w okno końcem laski.

Podporucznik Gołołubow szybko podniósł głowę. Lampa oświecała mu twarz silnie. Włodzimierz Iwanowicz teraz dopiero przypatrzył mu się dobrze. Widocznem było, że podporucznik był jeszcze bardzo młody, prawie dzieciak bez wąsów i brody. Pucołowata twarz jego, pokryta wągrami, z małemi jasnemi oczami o żółtych brwiach i jasnych rzęsach, z krótko ostrzyżonymi, żółtoblond włosami była bez wyrazu i nic nie mówiąca.

Gołołubow spostrzegł Włodzimierza Iwanowicza, poznał i wstał. Włodzimierz Iwanowicz kontent, że, jak mu się zdawało, przestraszył podporucznika, chciał mu kiwnąć głową, uśmiechnąć się i iść dalej, ale Gołołubow do niego kiwnął głową, przyjaźnie się uśmiechnął i szybko przeszedł w głąb pokoju, jakby ku drzwiom.

Czyżby mnie chciał do siebie zaprosić, czy co? — niepewnie pomyślał Włodzimierz Iwanowicz i przystanął, nie wiedząc czy iść dalej, czy poczekać. Z sieni piekarni dał się słyszeć stuk otwieranych drzwi, a z ciemnego czworoboku bramy słychać było głos Gołołubowa mówiącego:

— Czy to pan, panie doktorze?

Włodzimierz Iwanowicz ciągle jeszcze niezdecydowany, jak sobie postąpić, zbliżył się do drzwi. Gołołubow w ciemności uścisnął go za rękę i słychać było, jak zamknął bramę na zasówkę.

— Masz tobie! A to ci niespodziewana wizyta! — rozweselony pomyślał Włodzimierz Iwanowicz, idąc omackiem wśród jakichś beczułek i skrzynek. W sieni rozchodził się silny zapach świeżego pieczywa i kwaśnych drożdży, a powietrze było ciepłe i przesycone parą.

Podporucznik poszedł przodem i otworzył drzwi do pokoju jasno oświeconego. Włodzimierz Iwanowicz, śmiejąc się z tego niespodzianego zdarzenia, przestąpił próg.

Pokazało się że, podporucznik Gołołubow zajmuje wszystkiego jeden pokój niewielki, niezbyt obficie staremi mebelkami przybrany. Włodzimierz Iwanowicz zdjął palto, powiesił je na wieszadle zaimprowizo-

wanem z szeregu gwoździ, wbitych rzędem ponad rozpostartą na ścianie gazetą, zrzucił kalosze, powiesił czapkę i postawił laskę w kącie.

— Niech pan siada, proszę, — wskazując stołek przemówił Gołołubow.

Włodzimierz Iwanowicz usiadł i rozglądał się.

W pokoju paliła się licha lampa, od której było ciemno i ponuro. Oprócz stołu, porządnie pościelonego łóżka i sześciu stołków, ustawionych pod ścianami bez symetryi, wpadł w oko Włodzimierzowi Iwanowiczowi róg pokoju, zawieszony mnóstwem większych i mniejszych starych obrazów w miedzianych cerkiewnych szalach i przed nimi zielona lampka, u której wisiało malowane wielkanocne jajko.

— A to ci nabożniś — pomyślał Włodzimierz Iwanowicz z pogardą. Nie mogły mu się jakoś pogodzić ze sobą taka pobożność, owa lampka, a szczególniej owo wielkanocne jajko z pozycyą podporucznika i tegoż młodością.

Na stole, czystym nakrytym obrusem, stał wygasły samowar, leżały łyżeczki, szczypczyki do cukru oraz podstawka z bułkami. Łóżko było przykryte jasną kołdrą, a poduszki w białych poszewkach ze wstawkami.

Wszystko było nadzwyczajnie czyste i porządne, ale tembardziej pokój, może właśnie dlatego, wydawał się chłodnym i niepociągającym.

— Napije się pan herbaty?—zapraszał podporucznik.

Włodzimierz Iwanowicz nie miał wcale ochoty na herbatę i już miał podziękować, ale gdy mu przyszło na myśl, że tu nie będzie ostatecznie co robić, zgodził się.

— Zaraz służę.

Gołołubow starannie wymył i wytarł szklankę i spodek i nalał herbatę.

— Wybacz pan, że herbata słaba — rzekł, podsuwając Włodzimierzowi Iwanowiczowi podstawkę z bułkami.

— Nie szkodzi,— odpowiedział Włodzimierz Iwanowicz, a pomyślał równocześnie:— Po jakie licho on mnie tu zaprosił?

Podporucznik siedział przy stole podwinąwszy nogi pod stołek i machinalnie mięszał herbatę łyżeczką w swojej szklance. Włodzimierz Iwanowicz też mięszał herbatę w szklance i obaj milczeli.

Teraz przyszło do głowy Włodzimierzowi Iwanowiczowi niemiłe przypuszczenie, że zaszło nieporozumienie: Postukanie jego w okno widocznie wziął podporucznik za chęć wejścia i teraz sam nie wiedział, czy się

nie pomylił. Włodzimierzowi Iwanowiczowi zrobiło się tak nieprzyjemnie, że aż się zarumienił. Położenie wydawało mu się głupiem i to z jego winy, a Włodzimierz Iwanowicz, jak wszyscy zdrowi i samowolni ludzie nie cierpiał znajdować się w głupiem położeniu.

— Szkaradna pogoda, — mimowoli rumieniąc się za taki początek, przemówił Włodzimierz Iwanowicz.

— Rzeczywiście, teraz pogoda bardzo brzydka,— szybko zgodził się z nim Gołołubow i zamilkł.

—Jak on to dziwnie... jakoś tak szczególnie wymówił — pomyślał Włodzimierz Iwanowicz.

Niepewność siebie szybko przeszła dlatego, że on, jako lekarz przywykł był rozmawiać z różnymi, częstokroć zupełnie sobie nieznajomymi ludźmi. Oprócz tego, równie jak urzędników wszystkich wojskowych, miał za głupców i nie uważał za potrzebne krępować się w ich towarzystwie.

— O czemżeś to pan tu marzył?—znowu wpadając w ton lekceważąco pogardliwy zagadał.

Włodzimierz Iwanowicz był pewny, że gospodarz grzecznie i również dobitnie odpowie:

— Ja tutaj o niczem nie marzyłem...

Tymczasem zamiast tego podporucznik, nie podnosząc głowy, odrzekł:

— Ja myślałem o śmierci.

Włodzimierz Iwanowicz omal nie parsknął ze śmiechu, tak nie pasującą do gołowąsej fizyognomii podporucznika wydała mu się ta myśl, zdziwił się i roześmiał.

— Czyżby? Zkądże panu przyszły do głowy takie ponure myśli?

— Każdy człowiek powinien myśleć o swojej śmierci.

— I żałować za grzechy z wiedzą i bez wiedzy popełnione!— żartował Włodzimierz Iwanowicz.

— Nie. Tylko myśleć o swojej śmierci — całkiem spokojnie i grzecznie odpowiedział Gołołubow.

— Dlaczegoż to tak powinien? — opierając się łokciem na stole i zakładając nogę na nogę, drwiąco zapytał Włodzimierz Iwanowicz, spodziewając się, że lada chwila podporucznik wytnie coś głupiego, co mu się wydawało być nieuniknionem u podporucznika.

— Dlatego, że każdy człowiek musi umrzeć — odpowiedział tymsamym tonem Gołołubow.

— No... tak... ale to jeszcze nie dostate-

czna przyczyna! — odparł Włodzimierz Iwanowicz, a pomyślał: — on nie musi być Rosyaninem, bo się wyraża całkiem prawidłowo...

I zaczęło mu być naraz niemiło siedzieć tak naprzeciw bezbarwnego, grzecznego podporucznika i chciał odejść.

— A mnie się zdaje, że przyczyna ta najzupełniej dostateczna — odparł Gołołubow.

— Sprzeczać się nie będziemy! — żartobliwym tonem zgodził się Włodzimierz Iwanowicz i było mu niemiło jeszcze i dlatego, że uważany przez niego za głupiego i ograniczonego człowieka podporucznik Gołołubow myślał i mówił o takiej poważnej, głębokiej i strasznej rzeczy jak śmierć.

— Sprzeczać się nie potrzeba, ale potrzeba się przygotowywać — rzekł Gołołubow.

— Co? — wysoko podniósł brwi Włodzimierz Iwanowicz i roześmiał się, bo ten ostatni frazes podporucznika wydał mu się być właśnie tem głupstwem, którego on się po nim spodziewał.

— A na jakiegoż licha panu o niej myśleć? — już jakby zakończająco, niedbale, wstając i zabierając się do odejścia wyrzekł Włodzimierz Iwanowicz.

Gołołubow podniósł głowę, popatrzył na niego i jakby się zdziwił i rzekł:

— Przecież panu już mówiłem, że każdy człowiek powinien myśleć o swojej śmierci.

— Ależ on chyba idyota? — silnie rozdrażniony pomyślał Włodzimierz Iwanowicz.

— Niby, dlaczegoż to tak? — spytał prawie przez zęby.

— Ja panu już i na to pytanie odpowiedziałem — zauważył podporucznik.

— Licho tam wie, coś mi pan odpowiedział! — szorstko, z zarozumiałością, jak człowiek nienawykły, by mu się sprzeciwiano i sam dziwiąc się swojej gburowatości, odpowiedział mu Włodzimierz Iwanowicz: — Czyż dlatego, że codzień bezwarunkowo muszę pić, i jeść, i spać, czy też dlatego, że bezwarunkowo zestarzeję się w swoim czasie i nabędę zmarszczek, łysiny i tem podobnych, tom ustawicznie powinien myśleć o jedzeniu, piciu, spaniu, łysinie i tego rodzaju głupstwach!

— Nie! — powoli i smutno pokiwał głową podporucznik. — Sameś pan powiedział, że to są wszystko głupstwa, a o głupstwach myśleć nie trzeba. Ale śmierć, to nie głupstwo.

— No, a małoż to jest i bardzo mądrych rzeczy, o których my nigdy nie myślimy?...

Cóż to zresztą takiego jest śmierć?... Przyjdzie śmierć, ta i pomrzemy. Co do mnie naprzykład, to jest mi ona najzupełniej obojętna.

— To być nie może — odpowiedział, robiąc głową ruch przeczący, Gołołubow. Dla nikogo nie może być obojętną tak straszna rzecz, jak śmierć.

— A dla mnie przecież jest obojętna! — wzruszył ramionami Włodzimierz Iwanowicz.

— To oznacza tylko tyle, że pan nie zrozumiał swojego położenia.

— Masz tobie! Słyszane to rzeczy! Ależ to bałwan gołowąsy! — mocno rumieniejąc pomyślał Włodzimierz Iwanowicz.

Pomimo to, że wiedział, iż każdy człowiek uważa siebie jeżeli nie za mądrzejszego, to przecież nie za głupszego od drugich, to przecież głęboka jego zarozumiałość była tak wielką, że mówiąc z człowiekiem głupszym od siebie, a za takich miał wszystkich, z kim mówił i też z kim nie mówił, że bezwątpliwie był przeświadczony o tem, że każdy uznaje jego mądrości przewagę. To też teraz, gdy ze słów i tonu Gołołubowa poznał, że tenże nietylko nie uznaje jego wyższości, ale nawet przeciwnie upiera się przy swojem, poczuł się Włodzimierz Iwanowicz jakby obrażonym. Lecz równocześnie z tem powstało

w nim gwałtowne i przykre pragnienie, by za każdą cenę módz udowodnić, że on stoi nieporównanie wyżej, a podporucznik, że jest poprostu głupiec. W tej chwili czuł, że bezwzględnie nienawidzi podporucznika.

— Dlaczegóż to ja nie zrozumiałem? To interesujące—nie szczerze uśmiechnął się, siląc się, by twarzą wyrazić najwyższy stopień lekceważenia, na jaki tylko mógł się zdobyć.

Ale podporucznik nie podniósł głowy i nie widział tego wyrazu.

— Dlaczego? Ja nie wiem. — Cicho odpowiedział, jakby też przepraszając za to, że nie może zadowolnić legalnego życzenia gościa.

— A pan zrozumiałeś?—jeszcze więcej rumieniejąc, pytał Włodzimierz Iwanowicz.

— Tak!

— To in...te...re...su...ją...ce...

Położenie każdego człowieka jest położeniem skazanego na śmierć... Włodzimierz Iwanowicz w zupełności szczerze przyznał, że podporucznik wypowiedział starą, dawno mu znaną myśl. To go odrazu uspokoiło i znowu poczuł się być niezmiernie wyższym od podporucznika, uważającego za coś nowego to, co było dla niego abecadłem.

— Stara rzecz!—rzekł i wydobył papierośnicę, chcąc zapalić i iść.

— Mimo to nie przestaje być prawdą. Utarte myśli prawie zawsze bywają najprawdziwszemi myślami; — spokojnie wypowiedział podporucznik Gołołubow i podał Włodzimierzowi Iwanowiczowi zapałki.

— Jak? – zapytał Włodzimierz Iwanowicz, dlatego, bo nie mógł odrazu wyrozumieć, czy to było mądre czy głupie, co powiedział Gołołubow.

— Ja nie wiem, dlaczegobym był obowiązany mówić tylko nowe, nie utarte rzeczy; — podniósłszy oczy odpowiedział podporucznik.—Ja sądzę, że powinienem mówić tylko prawdziwe.

— Hm... no... tak — wypowiedział Włodzimierz Iwanowicz, mimowoli zastanawiając się nad tem, czy w danym przypadku można było powiedzieć »prawdziwe«.

— Zapewne, że tak — przytaknął, nie przesądzając swojego pytania. – Ale na to było już dosyć czasu, by przywyknąć — dokończył, czując, że mówi nie to, co powinien i irytując się dlatego, ale nie na siebie, lecz na podporucznika.

— Ja myślę, że to mało pocieszające dla każdego skazanego na śmierć. I na pewno taki nie myśli o czem innem, jak tylko o egzekucyi wyroku.

I ze szczególnem, przy jego nieruchomem

wyrażeniu na twarzy, zainteresowaniem Gołołubow dodał:

— A panu się może zdaje, że nie tak?

Owo wyrażenie zainteresowania się dopomogło Włodzimierzowi Iwanowiczowi. Pomyślał, wypuścił dym z ust i podawszy w tył głowę, odrzekł:

— Nie! Ja myślę, że to z pewnością jest tak. Ale przecie kara śmierci jest to po pierwsze gwałt... gruby i przeciwnaturalny, a po drugie znajduje się bliżej człowieka...

— Nie; śmierć również jest objawem nienaturalnym i gwałtem — natychmiast jak gdyby równocześnie obmyślał rozwiązanie tego pytania, odrzekł podporucznik.

— No, to tylko ładny frazes i nic więcej! — dobrodusznie i żartobliwie wykrzyknął Włodzimierz Iwanowicz.

— Nie! Ja nie chcę umierać, a muszę umrzeć. We mnie jest pragnienie życia i cały jestem gotów i wolny do życia, a przecież mimo to... umrę. Jest tu więc i gwałt i przeciwnaturalność. Toby było ładnym frazesem, gdyby w rzeczywistości było inaczej... Ale ono tak jest i dlategoto nie frazes to, ale fakt.

Gołołubow wypowiedział to poważnie i pomału.

— Ale to jest prawo natury! — wzru-

szył ramionami Włodzimierz Iwanowicz i poczuł, że go zaczyna boleć głowa i że w pokoju powietrze jest duszne.

— I kara śmierci jest też prawem. A od kogo pochodzi to prawo, to wszystko jedno, od przyrody czy od władzy. I tem gorzej że z każdą inną władzą można walczyć, a z przyrodą nie można.

— A no... tak, — z przykrością zgodził się Włodzimierz Iwanowicz. — Lecz godzina śmierci nam nieznana!

— Prawda i to — przytaknął Gołołubow. — Lecz osądzony na karę śmierci do ostatniej chwili prawdopodobnie żywi nadzieję ułaskawienia, liczy na przypadek, na cud. Żyć zaś wiecznie nikt się nie spodziewa...

— Za to wszyscy mają nadzieję żyć długo.

— Na to nadziei mieć nie można. Jakże długo, kiedy życie człowieka bardzo krótkie, a umiłowanie życia u człowieka bardzo wielkie.

— Czyż u każdego? — z uśmiechem zapytał Włodzimierz Iwanowicz i jemu samemu wydawało się to dziwnem, że się uśmiecha, gdy właściwie nie było się z czego śmiać.

— U każdego. U jednych świadomie u drugich nieświadomie. Życie człowieka —

to on sam, a i siebie samego każdy człowiek zawsze kocha bardziej, jak wszystko inne.

— No tak, i cóż z tego?

— Ja pana nie rozumiem, o co mnie pan zapytujesz?

Włodzimierz Iwanowicz spostrzegł nagle, że z tego niespodziewanego pytania podporucznika zapomniał, co chciał powiedzieć. Chwilę tępo patrzył na podporucznika i męczył się, starając uchwycić wyślizgującą się mu myśl; ale zamiast tego przypuścił, że może Gołołubow ma go za głupca i kpi sobie z niego. Ta myśl była dla niego stanowczo straszna. W pierwszej chwili pobladł, a potem poczerwieniał, tak, że nawet gruby, czysty kark zalał mu się krwią. Potem myśl ta znalazła upust w ordynarnym i złym porywie i chciało mu się niepowstrzymanie bryznąć podporucznikowi czemś obelżywem, strasznie obrażającem... nachylić się ku samej, jego spełzłej, pryszczowatej twarzy i wrzeszczeć.

— No, ale na coś pan tu tych wszystkich głupstw naplótł? — świszcząco, prawie krzyknął z całych sił, powstrzymując się, aby mu nie nagadać jeszcze większych grubiaństw.

Gołołubow szybko wstał, wyprostował się we front, ale pierwej zanim Włodzimierz

Iwanowicz zdołał cośkolwiek przypuścić, znowu usiadł i rzekł dość cicho, ale wyraźnie:

— Na to, że takie są moje uczucia i przekonania i że mam zamiar odebrać sobie życie.

Włodzimierz Iwanowicz szeroko rozwarł oczy, poruszył wargami i wpatrzył się w podporucznika. Podporucznik siedział przed nim jak poprzednio nieruchomo i w poprzedniej pozie, mięszając łyżeczką w szklance. Włodzimierz Iwanowicz patrzył na niego i czem dłużej patrzył, tem mu się w głowie stawało coraz jaśniej. Jakaś myśl wkręcała mu się w mózg. Zadał sobie gwałt i naraz wszystko mu się wyjaśniło. I niedowierzając sobie a uważając myśl swoją prawie za nieprawdopodobną, Włodzimierz Iwanowicz zapytał:

— A powiedz mi pan, panie Gołołubow, czy pan przypadkiem nie zwaryował?

Gołołubow spuścił oczy i poruszył swemi wązkiemi, spiczastemi ramionami.

— Ja sam tak z początku myślałem.

— A teraz?

— A teraz myślę, żem wcale nie waryat i że ten zamiar pozbawienia się życia, który mam, nie jest wcale absurdem.

— Według pana samobójstwo bez wszelkiego powodu...

— Ja mam powód — przerwał Gołołubow.

— Jaki? — z ciekawością spytał Włodzimierz Iwanowicz.

— Jużem to panu powiedziedział — ze zdziwieniem odpowiedział podporucznik.

Chwilę milczał, a potem grzecznie, ale z widocznym wysiłkiem mówił:

— Powiedziałem, że uważam życie człowieka za życie skazanego na karę śmierci. Nie życzę sobie i nie czując się na siłach do oczekiwania... chcę sam...

— To nie ma zupełnie sensu — przekonywująco mówił Włodzimierz Iwanowicz — zdziałać gwałt... żeby uniknąć gwałtu...

— Nie aby uniknąć... uniknąć nie można, ale aby skrócić życie skazanemu na karę śmierci... Lepiej przecież już prędzej...

Włodzimierz Iwanowicz uczuł, jak coś zimnego i nieprzyjemnego przeleciało mu po grzbiecie i odezwało się w kolanach.

— Nie wszystkoż to jedno!? — rzekł.

Gołołubow milczał.

— Posłuchaj pan — zaczął Włodzimierz Iwanowicz, (zdawało mu się, że nie bardzo trudno rozczarować podporucznika, co do słuszności jego przekonań) — czy pan nie rozumie, że to będzie gwałtem na samym sobie...

— Nie, to będzie gwałt mojego ducha nad przyrodą... to przedewszystkiem... a potem... no...

— A czyż pański duch, nie jest tak samo dziełem przyrody, jak i pańskie ciało i...

Gołołubow wtedy uśmiechnął się. Pierwszy raz Włodzimierz Iwanowicz zobaczył go uśmiechającym się i uśmiech ten zastanowił go. Szerokie usta podporucznika rozciągły się prawie aż do uszów, oczki zwęziły mu się, a cała twarz rozlała się w bezmyślny grymas jakby dobrodusznego pijaka.

— Ja to doskonale rozumiem—odrzekł— i to i drugie jest dziełem przyrody, lecz to nie wszystko jedno dla mnie. Duch mój jest rzeczywiście mną, a ciało, to tylko przypadkowe pomieszczenie, nic więcej.

— Ale gdy ktoś uderzy w pańskie ciało, to będzie pana boleć?

— Tak.

— Więc to znaczy...

— Gdyby ciało moje było rzeczywiście mną, tobym dalej żył — przerwał Gołołubow. Śmierć wtenczas nie byłaby wyrokiem na karę śmierci, bo i po śmierci mojej ciało się zostanie. Ciało jest wieczne.

Włodzimierz Iwanowicz nie mógł się nie roześmiać.

— Najoryginalniejszy paradoks, który już kiedyś słyszałem.

— Nie. W nim niema nic oryginalnego, ani paradoksalnego. To — fakt:

Ciało jest wieczne. Ja umrę, ciało rozpadnie się na atomy, atomy złożą się w jakąbądź inną postać, ale same się nie zmienią i ani jeden nie zginie. Ile było w świecie atomów, gdy było moje ciało, tyle ich będzie i wtenczas, gdy umrę. Można też przypuścić, że kombinacya kiedyś powtórzy się i będzie ta sama postać... Duch umrze.

Włodzimierz Iwanowicz rozpostarł ramiona. Już nie uważał podporucznika za waryata i wogóle nie mógł zdać sobie sprawy z tego, czy to ma sens, co podporucznik powiedział, ale było mu ciężko na duszy i jakaś groźna wewnętrzna, jeszcze nie uchwycona myśl tego wszystkiego, co się z nim wydarzyło, błąkała się we wszystkiem: i w słowach podporucznika i w ciężkim płomieniu lampy, i w nim samym, i w tym bezbarwnym pokoju.

— A może i nie — bądź co bądź odrzekł. — Czy pan wie, że niema życia poza grobem?

— Ja tego nie wiem — odpowiedział Gołołubow i poruszył głową. — Ale to obojętne.

— Jakto obojętne?

— To wszystko jedno. Jeżeli niema, to duch mój zginie, a jeżeli jest, jakiebądź by nie było, to bądź co bądź mój duch zginie — kładąc na słowie »mój« nacisk, silnie wyrzekł podporucznik. — Ja zginę. Czy potem duch mój będzie świętym w raju, czy potępieńcem w piekle, czy też przesiedli się w inne jakie jestestwo — ja, rzeczywisty »ja«, moje przywary, przyzwyczajenia, moje śmieszne i piękne właściwości, moje przekonania, mój rozum, moja głupota, moje doświadczenia i moja nieświadomość, wszystko to, co było rzeczywiście podporucznikiem pułku piechoty, człowiekiem Gołołubowem, wszystko zginie. Będzie czembądź, tylko nie Gołołubowem.

Włodzimierz Iwanowicz czuł się i fizycznie źle. Nogi mu drżały, głowa go bolała, było mu smutno, przykro, ciężko, straszno i pusto.

Niech by go dyabli wzięli!—pomyślał.— To obłąkaniec, a i sam człowiek przy nim może sfiksować!

— Żegnam pana! — opryskliwie rzekł i wstał, jakby go kto podrzucił.

Gołołubow też wstał i grzecznie odrzekł:

— Żegnam.

Włodzimierz Iwanowicz wdział palto, ka-

pelusz, kalosze, wziął laskę i nie patrząc na podporucznika, podał mu rękę.

Wyszli razem do ciemnej sieni, gdzie ciągle jeszcze silnie pachło ciepłym chlebem i drożdżami.

Gołołubow otworzył drzwi na ulicę.

— Żegnam — jeszcze raz powiedział Włodzimierz Iwanowicz.

Podporucznik z ciemnej sieni odpowiedział:

— Żegnam.

Włodzimierz Iwanowicz ostrożnie machając laską, jak pijany, zeszedł z ganku.

— Niechno pan nie myśli naprawdę o tem tam... z nudów! — wesoło jak mu się zdawało, a w rzeczywistości wcale nie wesoło rzekł Włodzimierz Iwanowicz.

— Ja powiedziałem, że takie moje przekonania...

— Głupstwo!.. Żegnam! — prawie ze złością krzyknął Włodzimierz Iwanowicz i nieomal biegnąc, oddalił się.

II.

Włodzimierz Iwanowicz słyszał, jak się zawarły drzwi i szybko szedł ulicą. Deszcz się zwiększył i wiatr. Ale to było przyjemne

Włodzimierzowi Iwanowiczowi i nawet zesunął kapelusz na tył głowy. Czoło miał ciężkie i spocone. Raz się obejrzał i już z oddali uwidział czerwonawy punkt oświeconego okna, nieruchomo odbijający się w ciemnem tle nocnego deszczu.

— Dyabli wiedzą co to takiego! nic pojęcie — powtarzał sobie Włodzimierz Iwanowicz, głośno brodząc po kałużach i czując, że prawy bucik przemoczył.

Włodzimierz Iwanowicz sam nie mógł pojąć, czy to było seryo, co było, czy też głupotą i niewiadomo po czyjej stronie. Ale przecież zdawało mu się, że jeżeli to była głupota, to już po stronie podporucznika. Cała rozmowa przedstawiała się mu jako ciężkie majaczenie, a nawet nie jako majaczenie, ale po prostu jak coś w rodzaju jadowitego, ciężkiego zapachu.

Włodzimierz Iwanowicz szedł, patrząc pod nogi, starając się uspokoić i odegnać od siebie jakieś złe, wyczerpujące go uczucie, zalazłe gdzieś aż do głębi jego duszy.

— Czego ja się właściwie tak zgryzłem? — z ironią zapytywał sam siebie, ale pomimo tego pytania uczucie to nie przycichało, ale nawet wzmogło się do bolesnej troski.

A cóż! Może on się i naprawdę zastrzeli!« — przyszło mu nagle do głowy.

I pierwszy raz z oślepiającą jasnością Włodzimierz Iwanowicz zrozumiał, że wszystko to były nie teoretyczne, nieszkodliwe wywody, ale nieco niemądro straszne, ponure i dławiące żywą duszę, duszę człowieka, który teraz jeszcze może żywy, ale za chwilę może być, że zgaśnie. Wrażenie było tak silne, że Włodzimierz Iwanowicz aż stanął, jak wkopany w ziemię. Deszcz szeleścił bezustannie, a wolno. Włodzimierz Iwanowicz obrócił się całą figurą i pobiegł z powrotem, nie zważając na kałuże, poślizgując się wpadając w grząskie błoto. Zdyszany, spocony cały, z czapką na tyle głowy dobiegł do mieszkania Gołołubowa i przystanął jak pierwej przed oświetlonem oknem. Z początku zdawało mu się, że widzi twarz podporucznika, ale to był oświecony bok samowara. Lampa, jak przedtem, paliła się w tem samem miejscu i widać było szklankę z niedopitą herbatą i błyszczącą łyżeczką. Ale samego podporucznika nie było. Włodzimierz Iwanowicz w niepewności ociągał się pod oknem. Wyobrażał sobie, że tam w pokoju rozpościera się straszna cisza i bezwładność, a na środku pokoju leży zabity podporucznik. Włodzimierz Iwanowicz zadziwiająco szybko

przedstawił sobie jego postać, rozłożoną na podłodze, z bladą twarzą, nieruchomemi oczami, ze strugą krwawą na skroni i podłodze, z rewolwerem zaciśniętym w skostniałych palcach. Zdawało się też Włodzimierzowi Iwanowiczowi, że nad stołem, zasłaniając lampę, unosi się i kołysze dym; lecz w tej chwili na wytężone nieruchomo oczy wystąpiły łzy, a gdy je strącił, to już dymu nie było. Włodzimierz Iwanowicz postał tak z pięć minut, nie zwodząc oczów z okna i czując, że trzeba jak można najspieszniej zdziałać coś stanowczego, niezmiernie poważnego i to go męczyło. Ale co, tego nie wiedział.

— Ależ to ostatecznie szaleństwo! — wzruszył ramionami, uśmiechając się w roztargnieniu powiedział sobie Włodzimierz Iwanowicz i zawstydził się ogromnie, bojąc się, by kto, a głównie sam Gołołubow nie zobaczył go przed oknem. — Podporucznik sobie śpi z pewnością, a ja tu sterczę jak dureń! — ze złością pomyślał. — I czegom ja się zląkł? Wszystkie niedorostki obiecują się zastrzelić i wszyscy Bogu dzięki żyją! A niech ci go licho porwie!..

Włodzimierz Iwanowicz stanowczo odwrócił się, z pasyą podniósł kołnierz od paltota, naciągnął czapkę na czoło i poszedł do domu; nieoglądając się skręcił w zaułek

wszedł do siebie. W głównym budynku u właściciela domu słabo błyskał płomyk niebieskiej lampki, a w oknach jego oficyny było ciemno. Te okna wydały mu się, jakieś żałosne. Dopiero w tej chwili zwrócił po raz pierwszy uwagę na swoją oficynkę. Był to stary, odrapany dom, zasłonięty całą ciemną, nieruchomą masą drzew ogrodu. Pośrodku tych ogromnych, milczących drzew dom wydawał się malutkim, tajemniczym i Włodzimierzowi Iwanowiczowi naraz zrobiło się straszno, że on tam mieszka i że dzisiaj w nocy będzie spać w takim domu.

— No, to już całkiem jest głupio! — z ogromną irytacyą prawie na głos powiedział sobie Włodzimierz Iwanowicz. — Do czego może dojść człowiek!

Pewnym krokiem wszedł na ganek skrzypiący pod nogami i zapukał do drzwi raz i drugi. Za drzwiami była cisza, przerywana tylko powolnym, nieustannym szelestem deszczu i siurczeniem wody spadającej z dachu gdzieś w jakąś beczkę. Włodzimierz Iwanowicz zapukał jeszcze i jeszcze parę razy z całej siły i prawie, że się ucieszył, usłyszawszy za drzwiami kroki swojego służącego Paszki i tegoż senny głos:

— Kto tam?

— Ja. — Odpowiedział głośno i jakby

na skutek jego głosu wszystko się rozbudziło i znikł odcień tajemniczości, czyniącej wszystko takiem dziwnem. Szelest deszczu stał się zwykłym szelestem, woda szybko i nawet wesoło ciurczała do beczki, w oknach błysło światło i rozpędziło ciężką ćmę, a ogród jakby się cofnął wstecz i Włodzimierz Iwanowicz jasno zobaczył zwykłe, dobroduszne drzewiny, poruszające się za wiatrem.

Włodzimierz Iwanowicz pożartował z Paszką, kazał się zbudzić wcześnie, rozebrał się i położył się spać.

Paszka ziewając głośno, wziął buciki do czyszczenia i odszedł.

Ale jak Paszka odszedł i Włodzimierz Iwanowicz został sam, zaraz spostrzegł, że to uczucie, jakie w nim wzbudziła rozmowa z Gołołubowem, uczucie przygnębienia i smutku, nie odleciało, że ono w nim tkwi i że natychmiast go opanuje i że mu będzie strasznie ciężko. Lecz równocześnie z tem Włodzimierz Iwanowicz poczuł, że nie potrafi niczem przeszkodzić temu i opanował go smutek. Podkręcił knota u lampy, chciał czytać, ale nie mógł, rzucił książkę, zagasił lampę i zapalił papierosa.

Czerwony ogieniek papierosa cicho tlał w jego rękach i co chwila zwiększając się oświecał kawałek ściany, rysunek tapety,

palce, kołdrę i wąsy Włodzimierza Iwanowicza.

— A przecie ten podporucznik dziwnie szczególny człowiek — myślał Włodzimierz Iwanowicz i było mu trochę nie miło, że znalazł się z nim razem w tem samem mieście, tak blisko niego, człowiek z czego by i nie było szczególny i że to nie był nim on Włodzimierz Iwanowicz Sołodnikow.

— Jakem ja go mógł nie zauważyć już dawniej? Czego on mi się takim głupim przedstawiał? — myślał dalej Włodzimierz Iwanowicz i równocześnie spostrzegł się, że źle myślał. — To nie prawda, bo on mi się wcale nie przedstawiał, ale ja go po prostu wcale nie zauważyłem... Dlaczego?.. Czyżbym ja był taki głupi?... że nie mogłem go zrozumieć...? To niemożliwe! — uśmiechnął się Włodzimierz Iwanowicz, sam nie wiedząc, dlaczego właściwie niemożliwe. — Po prostu za bardzo byłem sam sobą zajęty — zaczął się srożyć sam na siebie. — Ale dlaczego? Dlatego, że mnie tego nauczyli otaczający mnie idyoci. Nigdym się nie spodziewał, żeby między nimi mógł się znaleść... A może i nie dlatego? Dlaczegoż ja tak byłem sobą zajęty? I temu podporucznikowi takie myśli przyszły do głowy... z pewnością niedojrzałe — z zadowoleniem pomyślał Włodzimierz

Iwanowicz — ale poważne, a mnie nie przyszły? Czemże ja byłem tak zajęty sobą? Nie moją powierzchownością przecież... I dlaczego ja się uważałem za wyższego od wszystkich? Dajmy na to, że każdy człowiek tak o sobie myśli. I ja też taki sam człowiek, jak i wszyscy? No, naturalnie, że tak jest! Ot, głupstwa mi się jakieś czepiają...

Papieros się dopalał. Włodzimierz Iwanowicz pociągnął ostatni raz i rzucił niedopałek na środek pokoju. Czerwony punkt, opisawszy w ciemności półkole, upadł, rozsypał się iskrami, potoczył się, i legł nieruchomo w ciemności. Z pomarańczowego stał się czerwonym, a potem robił się coraz mniejszym. Włodzimierz Iwanowicz leżał bez ruchu i patrzył na światełko.

— I dlaczego ja nigdy o tem nie myślałem? To jest, ja myślałem, tylko tak mimochodem. A przecież to naprawdę straszne. Oto żyjemy i żyjemy wszyscy, a potem pomrzemy. Na cóż się więc potem zdały nasze nie mówiąc już o frasunkach, nasze zgryzoty i radości, a nawet nasze ideały... Ot, twierdził Bazarow, że łopuchy na nas wyrosną a w rzeczy samej gorzej jeszcze, bo i to nie pewne. Może i łopuch nie wyrośnie, ale po prostu nic nie będzie. Jutro umrze wszystko i kto mnie znał, papiery moje pójdą do archi-

wum, aby je tam szczury zjadły albo je spalą i koniec wszystkiemu. Nikt o mnie nie wspomni. Ileż to milionów ludzi żyło przedemną, a gdzież oni są? Ja oto chodzę po prochu, a proch ten cały przesycony resztkami tych ludzi, którzy tak samo byli uświadomieni, jak i ja, myśleli, że to taka ważna rzecz, że żyją!—Resztka papierosa zgasła. Włodzimierz Iwanowicz mrugnął oczami, ale światełko ostatecznie zgasło.

— Ot i ten ogieniek... żarzył się i niema go! Został popiół; możnaby to jeszcze podpalić, ale to już nie będzie to samo... Tego samego ognia, który się palił, tego już nie będzie!... Mnie nie będzie!

Czując jakieś niemiłe ziębnięcie w nogach i w grzbiecie Włodzimierz Iwanowicz pomyślał: Doktora Sołodownikowa... nie, nie tak... Doktora Włodzimierza Iwanowicza Sołodownikowa już nigdy nie będzie...

Kilka razy powtórzył te słowa ze strachem i z uporem przerażenia. Serce biło mu nierówno i szybko, w piersiach było mu nieznośnie ciężko, a na czoło wystąpił mu silny pot.

— Mnie już nie będzie!.. Czyżby... No, tak z pewnością!... Wszystko będzie: i drzewa i ludzie i czucie — dużo uczuć przyjemnych, miłość i wszystko takie samo, a mnie nie

będzie. Ja nawet patrzeć na to nie będę. Nawet nie będę wiedział, czy to wszystko jest czy nie! To jest, nawet nie tak, że nie będę wiedział, ale po prostu, mnie całkiem nie będzie!... Po prostu?... Nie! To nie poprostu, ale strasznie, okropnie i nieznośnie! Pocóżem ja tedy żył, usiłował, uznawał to za dobre a to za złe, uważał się za mądrzejszego od innych?... Pomimo wszystko — mnie nie będzie!

Włodzimierzowi Iwanowiczowi zdawało się, że coś jakby mu się oczy zwilżyły. I zawstydził się tego, a równocześnie ucieszyło go, bo myślał, że łzy mu ulżą tego nieznośnie zimnego i ciężkiego uczucia, które go dławiło. Ale oczy miał suche i szeroko rozwarte w ciemność. Włodzimierz Iwanowicz westchnął ciężko z wysiłkiem i zmartwiał pełen smutku i strachu.

— Zjedzą mnie robaki... Długo będą mnie jadły, a ja będę leżał nieruchomo. One będą jadły, kłębiły się... takie białe, oślizłe... Niechby mnie raczej spalono... Nie... to też straszne!.. Po co było żyć?!«

Włodzimierz Iwanowicz spostrzegł, że coraz silniej drży i trzęsie się. Wiatr szalał za oknem, a w pokoju było cicho i głucho.

— Ja może już nie długo umrę... Może być, że jutro, może zaraz! Przecież to takie pro-

ste. Najniewinniejszy ból głowy, potem coraz gorzej, gorzej... i śmierć... Ja to sam wiem, że to takie proste, wiem jak i dlaczego, a przecież zapobiedz temu nie mogę!... Umrę! Może jutro... może zaraz... Możem się już i zaziębił, gdym stał tam pod oknem i może już umieram... Mnie się może zdaje, żem jeszcze zdrów, a we mnie się już może rozpoczął końcowy proces.

Włodzimierz Iwanowicz chciał sobie pomacać puls, ale natychmiast porzucił tę myśl i przerażony wzrok skierował na sufit, którego nie widział. I nad nim i z boków wszędzie była zimna, czarno nieprzenikliwa ciemność, wśród której jeszcze straszniejsze i boleśniejsze było to, co on myślał.

— Wszystko jedno — ja tego powstrzymać nie potrafię! Gdybym i mógł teraz powstrzymać, to wszystko jedno, bo czy wcześniej czy później umrę; nieśmiertelnym przecież nie będę. A tak ja, jak i wszyscy myślimy, że medycyna to wielka nauka? Dziś pomoże, jutro pomoże, a ostatecznie wszyscy pomrą i zdrowi i chorzy... i... jakież to straszne. Ja się śmierci nie boję, ale pocóż nieodwołalnie śmierć? Gdzież w tem sens, komu to potrzebne? Nie! Ja się boję; boję się...

Włodzimierz Iwanowicz naraz uspokoił się, bo przyszło mu na myśl zmartwychwsta-

nie i życie pozagrobowe. Jakby coś miękkiego, cichego i pieszczotliwego opadło mu na mózg zmęczony i zrobiło mu się błogo i miło. Ale nagle wybuchło na nowo wszystko z pasyą, z nienawiścią i zgrozą.

— O głupoto! Nikt przecież w to nie wierzy i ja nie wierzę i nie można w to wierzyć. Gdzież tu w tem sens? Komu i na co zdadzą się dusze, pozbawione kształtów i czucia i indywidualności, pławiące się w eterze?

Ale wszystko to i jedno, ponieważ bądź co bądź pozostaje strach; my tak czy owak nie wiemy nic oprócz faktu śmierci... Ma racyą podporucznik, bo i pocóż czekać w tym ciągłym strachu, lepiej samemu sobie... W tem jest coś uśmierzającego, w tem, że to niby sam sobie. Ot powiesz sobie i zrobisz sobie sam... To tak jakoś zajmie się człowiek tem, co robi i nie spostrzeże najstraszniejszego momentu umierania. A naturalnym biegiem rzeczy, do najostatniejszej chwili będzie miał nadzieję, głupią nadzieję, ponieważ to wszystko jedno, że choćby nie umarł tym razem, to umrze drugim razem, ale umrze bezwarunkowo i... niema po co mieć nadziei!... I do ostatniego mgnienia bojąc się... albo i nie bojąc się, ale umierać ze strachu...

Włodzimierz Iwanowicz zatkał uszy dło-

niami, bo miał uczucie, jakby mu ktoś ogłuszająco a monotonnie wrzeszczał do uszów jedno i to samo ustawicznie słowo: Śmierć, śmierć, śmierć, śmierć, śmierć...

— Aaa! a! — zawył nagle Włodzimierz Iwanowicz i równocześnie usiadł na łóżku. Naokół było ciemno i głucho. Troszkę tylko odróżniało się od ciemności okno, wychodzące na ogród, jakby szara plama. Za oknem poruszały się, migając, ciemne gałązki.

— Niechby go dyabli wzięli! Przeklęty! Nie chcę! Nie chcę! — dziko pomyślal Włodzimierz Iwanowicz, opasawszy rękami z całych sił kolana i wstrzymując oddech. A gdzieś jeszcze głębiej niż pierwsza myśl, bez przestanku nurtowała go druga, nieuchwytna, ale straszna swoją dzikością i srogością: — »Wszystko ci jedno; krzycz nie krzycz, a tak będzie... umrę... umrę«!..

Włodzimierz Iwanowicz zgrzytnął zębami, chwycił się oboma rękami za włosy, padł twarzą na poduszkę i strętwiał. W uszach mu nieznośnie szumiało, a przez ten szum przebijał się cichy, przeciągły, niemożliwie bolesny jęk.

Włodzimierz Iwanowicz puścił włosy, zwrócił się twarzą ku górze i szeroko rozwarł oczy. Strach go odbiegł, a w jego miejsce pozostała pustka. A pustka ta była gor-

szą, bardziej nieznośną jak strach; to była pustka trupia.

— Lepiej samemu sobie — pomyślał gdzieś daleko w głębinie mózgu Włodzimierz Iwanowicz i poczuł, że ma twarz zupełnie nieruchomą i zimną i zimne ręce i nogi.

— Lepiej samemu sobie — powtórzył w myśli i po cichu, jakby się skradając, począł wstawać z łóżka, po cichu wysuwając nogi z pod kołdry na zimną podłogę.

— A jaki bądź idyota przemyśla nad tem, jakby lepiej, jakby przystojniej, jakby mądrzej żyć, kiedy należy myśleć o tem, jak strasznie umierać — ze złością pomyślał, wstając i jakby w gorączce patrząc w jasno czerwone światło i jakąś przerażająco bladą twarz, stojącą przed nim.

Była to twarz Paszki, który ze świecą w ręce stał przed nim.

— Panie Włodzimierzu Iwanowiczu! Przyszli tu do pana — mówił.

Włodzimierz Iwanowicz tępym wzrokiem patrzył na niego i zdziwił się, czegoby po nocy chciał od niego Paszka i dlaczego on taki blady. Za Paszką sterczała jakaś nadzwyczajnie wyprostowana figura.

— A co to? Czego chcecie? — zaciekawiony spytał Włodzimierz Iwanowicz.

— Przepraszam najmocniej pana dokto-

ra — mówiła figura, a wystąpiwszy naprzód okazała się być wysokiego wzrostu policyantem, na którym i wąsy i szabla zwisały niedbale. — Muszę pana niepokoić, bo coś się stało, a Leonida Grygoriewicza niema w mieście.

Włodzimierz Iwanowicz opuścił się na łóżko, naciągnął kołdrę na gołe nogi i patrzał na ruszające się wąsy, przypominając sobie z wysiłkiem, że Leonid Grygoriewicz, to jego kolega, będący lekarzem miejskim.

— Uważa pan, zastrzelił się tam jakiś wartogłów — mówił dalej policyant, jakby się usprawiedliwiając za nietakt samobójcy, który sobie obrał taki nieodpowiedni czas do samobójstwa.

— Podporucznik, — machinalnie poprawił Włodzimierz Iwanowicz.

— A tak, tak jest, podporucznik. Może go pan i zna, Gołołubow... Znajomy z pewnością...

Coś, jakby pałką w czoło uderzyło Włodzimierza Iwanowicza.

— Gołołubow? — z dzikiem zaciekawieniem krzyknął. — Przecież się zastrzelił?

Policyant przestraszony poruszył wąsami.

— Czyżby pan już wiedział?

— Oczywiście... sam mi o tem oznajmił —

prędko, zająkliwie mówił Włodzimierz Iwanowicz, nie mogąc trafić nogą do pantofla.

— Jakto? Kiedy?... — dziwnym, zmienionym głosem pytał policyant.

— Mówił mi, mówił... a zresztą ja wam to później opowiem! — byle się pozbyć mruczał Włodzimierz Iwanowicz, naciągając na siebie drżącemi rękami surdut.

III.

Za bramą czekała dorożka, chociaż do mieszkania podporucznika można było pieszo zajść w pięciu minutach. Włodzimierz Iwanowicz nie wiedział, jak wsiadł do dorożki, ani jak z niej wysiadł przed mieszkaniem podporucznika Gołołubowa. Zauważył tylko jedno, że deszcz już nie padał, że niebo się wypogodziło i że jakby w górze pokazywały się gwiazdy.

Teraz drzwi do piekarni były otwarte. Na trotoarze stał stójkowy i jakieś smutno rezonujące figury. W sieni, gdzie pierwej czuć było silny zapach świeżego pieczywa i kwaśnych drożdży, znajdowali się liczni policyanci i stróże domów. Włodzimierzowi Iwanowiczowi wydawało się, że ich jest bardzo dużo. Drzwi do mieszkania podporuczni-

ka, gdzie jak i pierwej paliła się lampa, były na oścież otwarte i było pusto i cicho.

Włodzimierz Iwanowicz wszedł i z dziką ciekawością wpatrzył się w samobójcę.

Gołołubow leżał łagodnie skurczony, w pozycyi, najzupełniej niewłaściwej samobójcom. Leżał na samym środku pokoju, cały oświetlony od lampy. W pokoju nie było wcale nieładu, ale wszystko było tak, jak przed godziną. Widocznie Gołołubow zastrzelił się zaraz po wyjściu gościa.

Włodzimierz Iwanowicz domyślił się tego z następującego powodu: W pamięci jego najzupełniej wyraźnie utrwalił się widok oświetlonego okna, bok błyszczącego samowara, który brał za twarz podporucznika i coś podobnego do dymu przeciągającego przed lampą.

Włodzimierz Iwanowicz ciężko uklęknął i ostrożnie zwrócił ku sobie głowę podporucznika. Ona posłusznie poruszyła się na długiej miękkiej szyi. To miejsce, gdzie Włodzimierz Iwanowicz jeszcze niedawno widział i spodziewał się znowu zobaczyć znajomą, jakby spłowiałą twarz podporucznika, jego bezbarwne szare oczy, niewyrazisty nos i białe wąsiki i brwi, przedstawiało jednę, jednolitą, krwawą plamę. Wszystko było rozbite, zmienione na mięsiwo, zalane już krze-

pnącą krwią. Jedno oko wyciekło, a drugie było nienaturalnie szeroko rozwarte. Ale to oko nie było już podobne do pięknego ludzkiego oka; to był jakiś przykry, nieprzeźroczysty, ogromny, martwy wytwór, tępo i straszno patrzący na życie.

Włodzimierz Iwanowicz wzdrygnął się i wypuścił głowę z rąk.

Głowa upadła z miękkim odgłosem.

— Pozwól pan popatrzeć — rzekł cicho i nieśmiało z tyłu stojący prystaw — z karabinu się zastrzelił... śrutem. Kaczym śrutem, nieomal że całą lufę nabił... no i w usta... o widzi pan! Mój Ty Boże kochany...

Włodzimierz Iwanowicz całkiem przysiadłszy na podłodze patrzał na tyłogłowie, które już zaczynało sinieć.

Prystaw zarządzał. Podporucznika podniesiono i położono na łóżku. Stójkowy, rudy chłop, o tłustej, czerwonej twarzy, przytrzymując pałasz, poprawił podporucznikowi głowę i przeżegnał się; szczęka mu się trzęsła, pomimo, że starał się być spokojnym.

Włodzimierz Iwanowicz był jak w malignie. Robił wszystko, co należało czynić w jego fachu. Pisał, podpisywał, mówił całkiem poprawnie, odpowiadał na pytania prystawa, ale robił to wszystko najzupełniej machinalnie i ze smutnem przekonaniem o bezcelo-

wości tego, co czynił. Ciągło go coś do łóżka, na którem cicho i nieruchomo leżał podporucznik Gołołubow.

Gdy wszystkie formalności były skończone, Włodzimierz Iwanowicz zbliżył się do łóżka, postał, popatrzył, potem wyciągnął rękę i dotknął się wyszczerzonego oka. Zdawało się i Włodzimierzowi Iwanowiczowi i prystawowi i stójkowemu, że oko powinno się przymknąć. Ale oko nie poruszyło się. I było to jakieś nienaturalne, nieprzyjemne, i straszne, tak, że wszystkim stało się w tym pokoju nieswojo.

Włodzimierz Iwanowicz teraz dopiero na prawdę przyszedł do przekonania, i silnie pojął, że podporucznik Gołołubow umarł. To, co było podporucznikiem Gołołubowem, już nie było ani podporucznikiem, ani Gołołubowem, ani człowiekiem, ani jestestwem, ale było trupem. Można go było trącać, rzucać nim, palić go, a on tylko pokornie i martwo poddawałby się wszelkiemu gwałtowi. Ale równocześnie Włodzimierz Iwanowicz widział, że to właściwie jest podporucznik Gołołubow. To, co z nim zaszło, było zupełnie niepojęte, całkiem niezrozumiałe i nie znaczące, ale okropne, wstrętne i żałosne.

Ten żal nagle się skądś wziął, a chwili, w której powstał, nie zauważył Włodzimierz

Iwanowicz. Zal ten zaraz też pokonał przerażenie i ohydę i niezrozumienie i ze straszną siłą objął, zdawało się, cały organizm Włodzimierza Iwanowicza. Nagle przypomniało mu się wszystko, co charakteryzowało żywego podporucznika Gołołubowa, jak tegoż chód, postawa, ostrzyżona głowa, jego oczy, nieładna twarz, białe rzęsy, a wszystko to było tak niezmiernie piękne, tak ujmujące i miłe w porównaniu z tem, co widział teraz. Włodzimierz Iwanowicz dlaczegoś popatrzył na lakierowane buciki, które niedawno na żywych i silnych nogach podporucznika, tak ostro deptały kałuże, a teraz nieruchome, tak strasznie nieruchome leżały na białem, czystem pokryciu łóżka.

Włodzimierz Iwanowicz zatchnął się, westchnął i nagle zapłakał, jakby dawno wiedział, że tylko to było do zrobienia i że niepotrzebnie się wstrzymywał.

Wąsaty prystaw też się odwrócił. Chwilę patrzył na Włodzimierza Iwanowicza, z lekka otwartemi ustami, a potem wąsy mu zadrgały i zupełnie niespodzianie dla samego siebie uśmiechnął się szeroko.

Ale Włodzimierz Iwanowicz nie widział tego uśmiechu, bo z uczuciem bezwładności opuścił się na stołek, stojący przy łóżku i załkał, drżąc.

Prystaw się stropił.

— Ty! wody tu daj! Niewiedzieć czemu— srogo krzyknął na policyanta.

Policyant uwadziwszy szablą o klamkę, z hałasem wybiegł do sieni, a prystaw zmięszany, począł uspokajać doktora.

— Panie Włodzimierzu Iwanowiczu, cóż się z panem dzieje?.. Któż to widział? Prawdziwie... przykro... no, ale cóż robić?..

I szeroko rozstawiał ramiona, a potem zirytowany i jakby wymyślając krzyknął:

— Dawajże tej wody! Ty!..

Wody przyniósł w glinianym garnczku wysoki, stary policyant z wystraszoną twarzą.

— No, proszę... napij się pan, panie doktorze — mówił prystaw, podając doktorowi wodę.

Włodzimierz Iwanowicz, dzwoniąc zębami o garnczek, pił ciepłą wodę z zapachem chleba i drożdży.

— No tak, no tak, — dobrym głosem powtarzał prystaw. — No i chodźmy stąd... Bóg z nim!

Włodzimierz Iwanowicz przestał płakać i rozejrzał się nieśmiało i niespokojnie. Zdumiał się widokiem dziwnych wyrażeń twarzy stojących przed nim. I prystaw i wysoki stary policyant, który przyniósł wody i drugi

ładny blondyn grubawy, tak patrzeli, jakby to, co się mu przytrafiło, bez porównania było ważniejsze i bardziej interesujące, jak trup leżący na łóżku. Wszyscy oni patrzyli na niego, pomagali mu, troszczyli się o niego; a trup podporucznika Gołołubowa leżał grzecznie, samotny, jak niepotrzebna nikomu, niemiła i przeszkadzająca rzecz.

— Pójdźmy, doktorze, rzeczywiście! — nalegał prystaw.

Włodzimierz Iwanowicz machinalnie wstał, wziął czapkę, którą mu podał policyant i przeszedłszy przez sień, gdzie ciągle jak pierwej pachło świeżem pieczywem i drożdżami, ale z domieszką jakiegoś innego jeszcze świeżego przyjemnego zapachu, naniesionego przez żywych, zdrowych ludzi z pola, wyszedł na ganek.

A to, co ujrzał, zastanowiło go.

Był ranek. Niebo było prawie czyste i przeźrocze. Deszcz ustał, ale wszystko było jeszcze mokre i błyszczało jak wymyte. Zieloność była prawdziwie zielona. Akurat naprzeciw Włodzimierza Iwanowicza wschodziło jeszcze niewidoczne słońce, a to miejsce na niebie było oślepiająco jasne, promieniowało, gorzało i iskrzyło się. Powietrze drgało i wlewało się w piersi potężnymi, czystymi i miękkimi strumieniami.

— Aaa... — z podziwieniem westchnął Włodzimierz Iwanowicz.

— Śliczny poranek! — powiedział prystaw, zdejmując czapkę i z przyjemnością wystawiając swą łysą głowę na świeży chłodek.

— Tyle dni deszczu i nareszcie tak ślicznie! Co? — ciągnął z rozkoszą prystaw. — Jakże to przyjemnie, no i bądź co bądź... tamten biedaczysko już tego nie zobaczy... Marszcząc z powagą twarz, kiwnął głową wstecz posępnie prystaw.

Wtedy Włodzimierzowi Iwanowiczowi stanął przed oczami straszny, milczący, nie wiedzieć dlaczego, kiedy wszędzie było widno, oświetlony od lampy pokój i nieruchomy trup podporucznika. Ale prystaw nie mógł utrzymać nastrojowo posępnego wyrazu twarzy, więc drgnęły mu wąsy, nos się przykurczył i przyjemny uśmiech zakwitł, gdy rzekł:

— Nawet się spać odechciało... żal ranka! Dobrzeby tak było teraz... tego... wykąpać się i na rybkę założyć... Ja na to łasy. A pan nie amator?

I straszny, boleściwy pokój znikł. Włodzimierz Iwanowicz znowu ujrzał świat, niebo, ludzi i usłyszał miły, żywy głos prystawa.

— A no, dlaczegożby nie!... — ochotnie

odrzekł. I pomyślał, że ten prystaw to przyzwoity, mądry, żywy człowiek.

— Może razem gdzie pojedziemy?.. Małom panu znajomy wprawdzie, ale...

— I owszem, i owszem — szybko odpowiedział Włodzimierz Iwanowicz.

Obok przeleciał świergocząc wróbel. Włodzimierz Iwanowicz popatrzył za nim i wesoło pomyślał: »Jak ci ten pracuje«!...

— No, tymczasem do widzenia, doktorze — rzekł prystaw i naraz z wyraźnym wysiłkiem zmienił wyraz twarzy z wesołego, miłego na poważny, urzędowy i zmienionym głosem dodał: — Muszę jeszcze z obowiązku... tego... — Uścisnął rękę doktorowi i widocznie, bojąc się, aby ten mu nie towarzyszył, szybko wrócił się do mieszkania.

Włodzimierz Iwanowicz zdjął czapkę, szeroko się uśmiechnął i odszedł. Przechodząc obok otwartego okna zobaczył zbladłe światło lampy i coś kłującego przenikło go w sercu. W tej chwili ktoś, prawdopodobnie prystaw, zgasił lampę. Słaby promyk znikł i widać było sufit pokoju i samowar pobłyskujący od dziennego światła.

Włodzimierz Iwanowicz szedł ulicą i rozglądał się. Wszystko co było na około niego, wszystko ruszało się, iskrzyło i żyło. Włodzimierz Iwanowicz zwracał uwagę na każdy

ruch i czuł, że to jest siła mocarna, co go związuje w jednę całość z tym żywym, ruszającym się światem. Patrzał na swoje nogi i jakby je po raz pierwszy widział i omal, że się nie uśmiechnął do nich, takiemi miłemi i doskonałemi mu się one wydały. — A ja o nich wogóle nie myślę, a one mnie niosą! — pomyślał. — I one nie takie pospolite, za jakie ja je zawsze miałem... to jest zadziwiające, cudowne, przepyszne... Jak chcę, mogę wyciągnąć rękę i wyciągam! — Włodzimierz Iwanowicz wyciągnął rękę i ucieszony, uśmiechnął się, patrząc na białego pieska, który wybiegł na drogę. Piesek przeląkł się wyciągniętej ręki, zaszczekał i bez obawy popatrzył, podniósłszy ucho na Włodzimierza Iwanowicza.

— Piękny piesek! — pomyślał Włodzimierz Iwanowicz. I jeszcze nigdy w życiu niedoznawane uczucie, przy świadomości, że on i pies, spoglądający na siebie, a nie leżący obojętnie i nieruchomo wśród żywego poruszającego się świata, wstrząsnęło nim: —

— Wszystko coby nie było - pomyślał Włodzimierz Iwanowicz — Strach, przerażenie, złość, wszystko, wszystko... byleby było we mnie, dlatego, że to — »Ja«!.. »Ja«! »Ja... idę ja myślę, ja widzę, ja czuję... bez względu na to... co, byle nie leżeć martwym... Ja umrę, rozu-

mie się!« I prawie spokojnie pomyślawszy to, Włodzimierz Iwanowicz na głos rzekł:

— A możeby wartało pojechać gdzieś na ryby z tym prystawem!

I stawiając duże kroki, machając rękami i nogami i z całych sił wciągając w płuca powietrze, Włodzimierz Iwanowicz poszedł dalej.

Nagle przed nim coś wybuchło, zajaśniało, roztoczyło blaski tak oślepiająco, że Włodzimierz Iwanowicz przymrużył oczy.

Weszło — słońce.